

Biblioteka Andrzeja
– Szlakiem Przygody

Aleksander Dumas ojciec

BIALI I NIEBIESCY

Tom 1



Aleksander Dumas (1802-1870), wnuk markiza Davy de la Pailleterie i czarnej niewolnicy Marie Cessette Dumas z San Domingo, syn ich potomka – generała Republiki, też Aleksandra, i jego żony Marii Ludwiki Labouret – córki prowincjonalnego mieszczanina, przychodzi na świat w Villers-Cotterêts w Pikardii. Jego ojciec, bohater kampanii włoskiej, skłócony z generałem Bonaparte podczas wyprawy do Egiptu, aż do swej śmierci w 1806 nie odzyskuje życzliwości Napoleona. W 1823 roku pełen ambicji Aleksander instaluje się w Paryżu z zamiarem zrobienia kariery dramatopisarza. Bywa na spotkaniach literacko-artystycznego salonu młodych romantyków u Charles’a Nodiera w bibliotece Arsenału. W 1831 roku jego sztuka *Antony* powoduje podobny wybuch entuzjazmu jak *Hernani* Wiktora Hugo. Ale to nie teatr, lecz powieść historyczna, której poświęca się coraz bardziej, staje się jego przeznaczeniem.

W roku 1844 publikuje swe najgłośniejsze dzieła: *Trzej Muszkieterowie* i *Hrabia Monte Christo*. W nadzwyczaj obfitej twórczości literackiej korzysta z pomocy współpracowników, z których najsłynniejszym jest Auguste Maquet. Powstają kolejne słynne powieści: *Królowa Margot*, *20 lat później*, *Józef Balsamo*... Pasma sukcesów i znaczące dochody umożliwiają mu budowę pałacu Monte Christo w podparyskim Port-Marly. Rozrzutny tryb życia i rozliczni „przyjaciele” doprowadzają go do bankructwa. Jego życie jest równie dynamiczne, jak akcja jego powieści. Odbywa wiele podróży, między innymi do Rosji, z których pisze bogate relacje. W 1860 roku pomaga Garibaldiemu w zjednoczeniu Italii. Przez jego życie przewijają się liczne kobiety, ale żonaty (i rozwiedziony) jest tylko raz. Wydaje gazety, kieruje teatrem. Książkę *Biali i Niebiescy* pisze w schyłkowej fazie twórczości, w roku 1867, bez współpracowników, ale opierając się na wspomnieniach Charles’a Nodiera. Pod koniec życia mieszka u swego syna – też Aleksandra i też pisarza – koło Dieppe nad kanałem La Manche, tam też umiera. W 200-lecie urodzin z zostaje przeniesiony wielką pompą do paryskiego Panteonu.

Aleksander Dumas ojciec



BIALI I NIEBIESCY

Tom 1

Pierwsza część cyklu „Sainte Hermine”

Przełożył i przypisami opatrzył Krzysztof Jagusiak

Czterdziesta trzecia publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Jedenasty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuły oryginału francuskiego: *Les Blancs et les Bleus*

© Copyright for the Polish translation by Krzysztof Jagusiak, 2017

25 ilustracji, w tym 2 kolorowe
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego
Wydawnictwa Levasseur oraz dostępnych w Bibliotece Narodowej Francji
i innych bibliotekach francuskich)

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Projekt okładki: Barbara Linda
Korekta: Andrzej Zydorczak
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2017

ISBN 978-83-65753-10-6 (całość)
ISBN 978-83-65753-11-3 (tom pierwszy)

Przedmowa

We wstępie do *Towarzyszy Jehu*¹ przedstawiłem, w jaki sposób owa książka powstała. Ci, którzy ją czytali, są w stanie ocenić to, co w niej zostało zaczerpnięte z Nodiera², naocznego świadka śmierci czwórki towarzyszy – od niego zapożyczyłem moje zakończenie.

Nic w tym zatem dziwnego, że znowu korzystam z Nodiera, tym razem zapożyczając początek do *Białych i Niebieskich*, którzy są kontynuacją *Towarzyszy Jehu*³.

Podczas długiej choroby Nodiera, która stopniowo pozbawiała go sił, byłem jedną z najczęściej odwiedzających go osób. A ponieważ z powodu ciągłego nadmiaru pracy nigdy nie miał czasu na czytanie mych powieści wtedy, gdy był zdrowy, więc kiedy choroba przykuła go do łóżka, kazał sobie dostarczyć siedemset lub osiemset tomów, jakie do tamtej pory opublikowałem, i czytał je z pasją.

W miarę jak zapoznawał się z moim warształem twórczym, jego literackie zaufanie do mnie wzrastało. Za każdym razem, gdy kierowałem rozmowę na jego temat, odpowiadał:

– Och, ja! Zawsze brakowało mi czasu. Wystarczało go tylko na przyjemność naszkicowania zarysu. Z takiej czy innej rzeczy, którą ja zamykałem w nowelce z dwustu linii, pan potrafiłby uczynić dziesięć tomów!

Na podstawie czterech stron, jakie mi opowiedział, napisałem trzy tomy *Towarzyszy Jehu*. Uważał zatem, że zrobię dziesięć z historyjki o *Euloge Schneiderze*, którą mi dostarczył.

– Ale – dodał któregoś dnia – mój wielki przyjacielu, niech pan napisze te tomy. A jeśli coś po nas zostanie, to tam wysoko ja też będę się cieszył z twojego sukcesu, bo moja próżność upatrywać w nim będzie również mój udział.

Tak więc opublikowałem *Towarzyszy Jehu*. A po sukcesie tej powieści opanowała mnie idea następnej, dla której punkt wyjścia zaczerpnąłbym z *Epizodów rewolucji* Nodiera, tak jak do poprzedniej książki znalazłem zakończenie w jego *Reakcji termidoriańskiej*. Pomysł wielkiej powieści BIALI I NIEBIESCY, którą zamierzałem oprzeć na zasłyszanych z jego ust opowieściach i na spisanych wspomnieniach, nie dawał mi spokoju.

Ale gdy przystąpiłem do pisania, ogarnęły mnie wątpliwości. Tym razem nie było to już zapożyczenie kilku stron od mego starego przyjaciela. Tym razem chodziło o umieszczenie w książce jego samego.

Napisałem więc do bliskiej i drogiej mi Marii Mennessier⁴ z prośbą o pozwolenie uczynienia po raz drugi tego, co już raz zrobiłem, nie pytając o zgodę, to znaczy przeniesienia szczepionki z drzewa macierzystego na takiego dziczka jak ja. Oto co mi odpowiedziała:

¹ Tytuł powieści *Les Compagnons de Jehu* brzmi w tłumaczeniu polskim *Towarzysze Jehudy*; biblijna postać, o której chodzi, w polskich tłumaczeniach Biblii występuje jako Jehu – syn Jozafata, król Izraela.

² *Charles Nodier* (1780-1844) – pisarz, krytyk literacki, jeden z prekursorów romantyzmu we Francji; od 1824 roku organizował w paryskim Arsenaie, gdzie był bibliotekarzem, salon literacki, w którym bywali młodzi romantycy m.in. Wiktor Hugo, Aleksander Dumas, Alfred de Musset, George Sand.

³ Termin „kontynuacja” jest mylący i oznacza kolejność pisania i publikacji obu utworów: *Towarzysze Jehu* zostali wydani w 1857, a *Biali i Niebiescy* – w 1867; natomiast chronologicznie to akcja *Towarzyszy Jehu* jest kontynuacją *Białych i Niebieskich*.

⁴ *Marie Mennessier-Nodier* (1811-1893) – pisarka, poetka, autorka tekstów piosenek, córka Charles’a Nodiera, wyszła za Julesa Mennessiera.

„Wszystko co pan chce i jak pan chce, mój drogi Aleksandrze. Powierzam panu mego ojca z tak bezgranicznym zaufaniem, jakby chodziło o twojego. Pamięć o nim i jego wspomnienia znalazły się w dobrych rękach.

MARIE MENNESSIER-NODIER”.

W tym momencie przestałem mieć skrupuły. A ponieważ plan powieści przygotowany został już wcześniej, od razu zabrałem się do pracy.

Dziś zatem rozpoczynam publikację niniejszej książki. Ale nim trafi w ręce czytelników, pozostaje mi jeszcze do spłacenia dług serca, co czynię poniżej.

KSIĄŻKĘ TĘ DEDYKUJĘ MOJEMU ZNAKOMITEMU
PRZYJACIELOWI I WSPÓŁPRACOWNIKOWI
CHARLES'OWI NODIEROWI

Napisałem WSPÓŁPRACOWNIKOWI, ponieważ natrudziłbym się, szukając innego, i byłoby to daremne!

ALEKS. DUMAS

Tom pierwszy
Część pierwsza
Prusacy nad Renem



Rozdział I

Z pocztowego zajazdu do hotelu Lanterne

W dniu dwudziestego pierwszego frimaire'a roku II⁵ (jedenastego grudnia 1793) o dziewiętej wieczorem dylizans z Besançon do Strasburga zatrzymał się na dziedzińcu pocztowego zajazdu położonego za katedrą.

Wysiadło z niego pięciu podróżnych. Naszą uwagę skupimy na najmłodszym.

Był to trzynasto- lub czternastoletni dzieciak, szczupły i bladej. Można było go wziąć za dziewczynę przebraną za chłopca, tyle łagodności i melancholii malowało się na jego twarzy. Był ciemnym szatynem o włosach przyciętych jak u Tytusa⁶. Taką fryzurę – naśladując Talmę⁷ – nosili zagorzali republikanie. Brwi tego samego koloru co włosy ocieniały jasnoniebieskie oczy, które jak dwa znaki zapytania zatrzymywały się z wyrazem szczególnej inteligencji na ludziach i przedmiotach. Miał cienkie wargi, piękne zęby i ujmujący uśmiech. Ubrany był zgodnie z wymaganiami mody epoki, jeśli nawet nie elegancko, to wystarczająco schludnie, by dostrzec w tym bez trudu interwencję kobiecej ręki.

Konduktor, który zdawał się otaczać dzieciaka szczególną troską, podał mu tobolek przypominający żołnierski plecak i wyposażony w paski pozwalające na noszenie go na plecach. Następnie, rozejrzawszy się wokół, zawołał:

– Hej! Czy jest tu ktoś z hotelu Lanterne oczekujący na młodego podróżnego z Besançon?

– To ja – odpowiedział głos szorstki i grubiański.

Osobnik wyglądający na chłopca stajennego, ledwie widoczny w ciemnościach pomimo niesionej przezeń latarni, która oświetlała tylko bruk, zbliżył się do wielkiego pojazdu, zachodząc od strony otwartych drzwiczek.

– A, to ty jesteś, Zaspany – rzekł konduktor.

– Nie nazywam się Zaspany, nazywam się Kokles⁸ – poinformował aroganckim tonem chłopak stajenny – i przyszedłem po obywatela Charles'a...

– Z polecenia obywatelki Teutch, czy tak? – spytał dzieciak łagodnym głosem, pozostającym we wdzięcznym kontraście z szorstkością głosu stajennego.

– Tak jest, obywatelki Teutch. No więc, jesteś gotów, obywatelu?

– Proszę pana – dzieciak zwrócił się do konduktora – niech pan przekaze...

– Że zjechał pan zdrowo i że na pana oczekiwano. Proszę się nie martwić, panie Charles.

– O, o! – krzyknął chłopak stajenny niemal z groźbą w głosie, zbliżając się do woźnicy i młodego przybysza. – O, o!

– A cóż takiego ma znaczyć twoje „o, o!”?

⁵ Daty w książce podawane są często według francuskiego kalendarza rewolucyjnego, w którym lata liczone były od dnia proklamowania republiki, czyli od 22 września 1792 roku; rok dzielił się na dwanaście miesięcy o specyficznych nazwach; frimaire – od 21 listopada do 20 grudnia.

⁶ Tytus Flawiusz (30-81) – cesarz rzymski od 79 roku, syn cesarza Wespazjana; razem z ojcem tłumił powstanie żydowskie i w roku 70 zburzył Jerozolimę; cechujący się łagodnością.

⁷ François-Joseph Talma (1763-1826) – najślynniejszy francuski aktor teatralny w okresie rewolucji, konsulatu i cesarstwa.

⁸ Kokles – legendarny bohater, obrońca rzymskiej republiki; podczas rewolucji francuskiej jej zagorzali zwolennicy często przyjmowali imiona słynnych starożytnych republikanów.

– Ma znaczyć to, że językiem, którego używasz, mówi się może w Franche-Comté, ale nie w Alzacji.

– Naprawdę?! – odrzekł konduktor szyderczym tonem. – I właśnie to chcesz mi powiedzieć?

– Radzę ci – dodał obywatel Kokles – zostawić *panów* w twoim dyliżansie, bo nie ma dla nich miejsca w Strasburgu, zwłaszcza od kiedy mamy szczęście gościć w naszych murach obywateli reprezentantów Saint-Justa⁹ i Lebasa¹⁰.

– Daj mi spokój z twoimi obywatelami reprezentantami i zaprowadź tego młodzieńca do oberży Lanterne.

I nic sobie nie robiąc z rad obywatela Koklesa, konduktor wszedł do zajazdu pocztowego.

Człowiek z latarnią, mamrocząc pod nosem, odprowadził go wzrokiem. Następnie zwrócił się do chłopca:

– Chodźmy, obywatelu Charles.

Ruszywszy przodem, wskazywał drogę.

Strasburg nigdy nie był miastem wojsłym, tym bardziej jeśli parę godzin wcześniej zarządzono odwrót wojsk. W epoce, w której rozpoczyna się nasza opowieść, to znaczy w początkach grudnia 1793, był zatem wyjątkowo niewesoły. Austro-pruska armia stała dosłownie u bram miasta. Generał Pichegru, głównodowodzący Armią Renu, zgromadził resztki rozproszonych oddziałów, które udało mu się odnaleźć, i siłą swej woli oraz dawanych przykłałów zaprowadził dyscyplinę. Osiemnastego frimaire'a wznowił ofensywę, ale nie będąc w stanie wydać walnej bitwy, ograniczał się do potyczek i sporadycznej wymiany ognia.

Pichegru objął dowodzenie po Houchardzie¹¹ i Custine¹², zgilotynowanych w następstwie niepowodzeń, oraz po Aleksandrze de Beauharnais¹³, który również miał być zgilotynowany.

Na dodatek będący na miejscu Saint-Just i Lebas, nie tylko nakazywali generałowi zwycięstwo, ale zwycięstwo zarządzali dekretemi. Znajdowali się zawsze na pierwszej linii frontu. Pod ręką mieli gilotynę, a jej zadaniem było czuwanie nad przestrzeganiem wydawanych dekretoów.

Tego właśnie dnia wydano trzy:

Pierwszy nakazywał zamykanie bram Strasburga o trzeciej po południu. Kara śmierci groziła każdemu, kto przyczyniłby się do opóźnienia zamknięcia nawet o pięć minut.

Drugi zakazywał ucieczki przed nieprzyjacielem. Kara śmierci czekała tego, kto podczas walki, odwróciwszy się plecami do pola bitwy, ruszyłby: kawalerzysta – galopem, piechur – biegiem.

Trzeci narzucał udawanie się na spoczynek w pełnym ubraniu, by nie zostać zaskoczonym przez nieprzyjaciela. Na karę śmierci narażał się każdy żołnierz, oficer lub głównodowodzący, którego by zastano rozebranego.

⁹ Louis de *Saint-Just* (1767-1794) – jakobin, zwolennik bezwzględnego terroru, jeden z czołowych przywódców rewolucji francuskiej, członek Komitetu Ocalenia Publicznego, wysyłany często w charakterze komisarza do armii, zgilotynowany wraz z Robespierrem.

¹⁰ Philippe Le Bas lub *Lebas* (1764-1794) – zagorzały jakobin, członek Konwentu, wysyłany często w charakterze komisarza do armii; po upadku Robespierre'a popełnił samobójstwo.

¹¹ Jean Nicolas *Houchard* (1739-1793) – generał republiki, dowódca Armii Renu podlegali mu od 18 maja do 17 sierpnia 1793, zgilotynowany.

¹² Adam-Philippe de *Custine* (1742-1793) – generał republiki, dowodził Armią Renu od 15 marca do 17 maja 1793, zgilotynowany.

¹³ *Alexandre de Beauharnais* (1760-1794) – wicehrabia, generał republiki, dowódca Armii Renu od 23 maja do 23 lipca 1793, zgilotynowany.

W niespełna tydzień po przybyciu do miasta nasz młody bohater miał się zapoznać z praktycznym funkcjonowaniem owych trzech dekretów.

Te wszystkie okoliczności uzupełnione dochodzącymi z Paryża nowinami czyniły Strasburg – miasto smutne z natury – jeszcze smutniejszym.

A nowiny nadchodzące z Paryża były to śmierć królowej, śmierć księcia Orleańskiego¹⁴, śmierć pani Roland¹⁵ i śmierć Bailly'ego¹⁶.

Z otuchą mówiono natomiast o rychłym odebraniu Tulonu Anglikom, ale ta wiadomość na razie była tylko niepotwierdzoną pogłoską.

Nie była to też pora dnia, kiedy Strasburg prezentował się korzystnie oczom nowo przybyłego. Po dziewiątej wieczorem ciemne i ciasne ulice miasta uczęszczane były wyłącznie przez strzegące porządku publicznego patrole straży obywatelskiej i stowarzyszenia Propaganda¹⁷.

W istocie, dla podróżnika przybywającego z miasta, które nie było ani w stanie wojny, ani na pograniczu, bardzo ponuro brzmiały odgłosy maszerującego nocą patrolu, który za każdym razem, gdy spotykał inny patrol, zatrzymywał się nagle z metalicznym szczękiem, posłuszny rozkazowi wydanemu głuchym głosem. Padało wówczas pytanie „kto idzie?” i wymieniano hasło.

Nasz młody przybysz i jego przewodnik spotkali już dwa lub trzy takie patrole, które nie zwróciły na nich uwagi. Lecz gdy pojawił się kolejny, zabrzmiały słowa „kto idzie?”

Na nocne „kto idzie?” odpowiadano w Strasburgu na trzy różne sposoby, które w dość szczególnej formie wyrażały zróżnicowanie postaw ideowych.

Obojętni odpowiadali: „Przyjacieli”.

Umiarkowani odpowiadali: „Obywatel”.

Fanatycy odpowiadali: „Sankiulota”.

– Sankiulota! – odpowiedział energicznie Kokles na skierowane doń pytanie.

– Zbliź się! – zawołał władczy głos.

– Coś takiego! – powiedział Kokles do towarzysza. – Poznaję ten głos, należy do obywatela Tétrell. Ja się tym zajmę.

– A kto to taki obywatel Tétrell? – spytał młody człowiek.

Kokles, nie odpowiadając na pytanie, ruszył krokiem człowieka, który nie ma podstaw do obaw i oznajmił:

– To ja, obywatelu Tétrell, to ja!

– A! Znasz mnie – zdziwił się szef patrolu o wyglądzie olbrzyma mającego pięć stóp i dziesięć cali wzrostu, a jeśli dodać zwieńczony pióropuszem kapelusz, sięgającego niemal siedmiu stóp.

– Oczywiście – odparł Kokles. – Któż w Strasburgu nie zna obywatela Tétrella?

A gdy był już całkiem blisko, dodał:

– Dobry wieczór, obywatelu Tétrell.

– No dobrze, ty mnie znasz – odparł gigant – ale ja nie znam ciebie.

¹⁴ Ludwik Filip *Orleański* (1747-1793) – książę z rodziny burbońskiej, zwany Philippe Égalité, zwolennik rewolucji, jako członek Konwentu głosował za śmiercią Ludwika XVI, zgilotnowany.

¹⁵ Manon *Roland* (1754-1793) – heroina rewolucji, aktywna działaczka stronnictwa żyrondistów, zgilotnowana wraz z innymi jego członkami.

¹⁶ Jean Sylvain *Bailly* (1736-1793) – astronom, pierwszy mer Paryża, aktywny uczestnik rewolucji, zgilotnowany.

¹⁷ *Propaganda* – stowarzyszenie fanatycznych rewolucjonistów powstałe w 1793 roku w Alzacji.



– Ależ znasz mnie! Jestem obywatel Kokles, którego za czasów tyrana zwano Zaspnym. W dodatku to ty mi nadałeś takie przezwisko, gdy twe konie i psy były w hotelu Lanterne. Zaspny! Jakże to, nie przypominasz sobie Zaspnego?

– Faktycznie! A nazwałem cię tak, bo byłeś najbardziej leniwym szelmą, jakiego kiedykolwiek znałem. A ten młodzieniec to kto?

– On? – Kokles uniósł latarnię na wysokość twarzy dzieciaka. – To smarkacz, którego ojciec posyła do Euloge’a Schneidera na naukę greki.

– A kim jest twój ojciec, młody przyjacielu? – spytał Tétrell.

– Jest przewodniczącym trybunału w Besançon, obywatelu.

– Ale by nauczyć się greki, trzeba znać łacinę.

Dzieciak uniósł głowę.

– Znam ten język – odpowiedział.

– Coś takiego, znasz łacinę?

– Tak! W Besançon rozmawialiśmy z ojcem wyłącznie po łacinie.

– Do diabła! Sprawiasz wrażenie chwata rozwiniętego ponad swój wiek. A ile masz właściwie lat? Jedenaście, dwanaście?

– Wkrótce będę miał czternaście.

– A dlaczegoż to właśnie do obywatela Eulogèa Schneidera wysłał cię ojciec na naukę greki?

– Ponieważ mój ojciec nie jest równie dobry w grece jak w łacinie. Nauczył mnie tego, co sam umiał. A teraz wysłał mnie do obywatela Schneidera, który biegle włada tym językiem. To on wykładał grekę na uczelni w Bonn. Proszę, oto list do niego od mego ojca. A już wcześniej, tydzień temu, ojciec też pisał do niego, by uprzedzić o moim dzisiejszym przyjeździe. On również zamówił mi pokój w hotelu Lanterne i wysłał po mnie obywatela Koklesa.

To mówiąc, młody człowiek wręczył list obywatelowi Tétrell, by dowieść, że wszystko, co opowiadał, było prawdą.

– Hej, Zaspány, przybliź latarnię – powiedział Tétrell.

– Kokles, Kokles! – poprawiał chłopak stajenny, posłusznie jednak wypełniając rozkaz skierowany do niego pod starym imieniem.

– Młody przyjacielu – rzekł Tétrell – pozwolę sobie zauważyć, że ten list nie jest do obywatela Schneidera, lecz do obywatela Pichegru.

– Och, przepraszam! Pomyliłem się – odpowiedział dzieciak. – Ojciec dał mi dwa listy. Pokazałem niewłaściwy.

I odbierając jeden list, podał drugi.

– A! Tym razem – ucieszył się Tétrell – to ten, o który chodzi: „Do obywatela Eulogèa Schneidera, oskarżyciela publicznego”

– *Eloge’a* Schneidera – powtórzył Kokles, poprawiając na swój sposób imię oskarżyciela publicznego, bo sądził, że Tétrell je zniekształcił.

– Daj no lekcję greki twemu przewodnikowi – roześmiał się szef patrolu – i naucz go, że Euloge to imię, które znaczy... Ano właśnie, młodzieńcze, co oznacza Euloge?

– *Pochlebca* – odpowiedział dzieciak.

– Na honor, doskonale! Słyszysz, Zaspány?

– Kokles! – uparcie poprawiał chłopak stajenny, trudniejszy do przekonania w sprawie własnego imienia niż imienia oskarżyciela publicznego.

W tym czasie Tétrell, odciągnąwszy na bok dzieciaka, pochylił się ku niemu tak, by móc mówić mu do ucha.

– Idziesz do hotelu Lanterne? – spytał ściszym głosem.

– Tak, obywatelu – potwierdził chłopiec.

– Spotkasz tam dwóch twoich rodaków z Besançon, którzy przybyli tu, by bronić oskarżonego o zdradę generała adiutanta¹⁸ Charles’a Perrine’a i wstawić się za nim.

– Tak, obywateli Dumont i Ballu.

– Właśnie. Powiedz im zatem, że pozostając tutaj, nie tylko nic nie pomogą oskarżonemu, ale nawet ich samych może spotkać coś niedobrego. Po prostu chodzi o ich własne głowy, rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem – odpowiedział dzieciak.

– Jak to?! Czyż nie rozumiesz, że Saint-Just obetnie im głowy jak dwom kurczakom, jeśli pozostaną? Poradź im zatem, by uciekali, i to im szybciej, tym lepiej.

– Z czyjego polecenia?

– Tylko bez nazwisk! Chcesz, bym to ja zapłacił za rozbite naczynia, lub raczej za nierozbite?!

A prostując się, oznajmił:

¹⁸ *Generał adiutant* – podczas rewolucji stopień oficerski wyższy od pułkownika, a niższy od generała brygady.

– W porządku, jesteście porządnymi obywatelami. Możecie iść dalej.

Potem zwrócił się do swych ludzi:

– Naprzód marsz!

I obywatel Tétréll oddalił się z patrolem, pozostawiając obywatela Koklesa dumnego z dziesięciminutowej rozmowy z tak ważną osobą, a obywatela Charles'a wstrząśniętego powierzonym mu zadaniem. Obydwaj w milczeniu udali się w dalszą drogę.

Pogoda była szara i przygnębiająca, jak to zwykle bywa w grudniu na północy i wschodzie Francji. A chociaż księżyc był niemal w pełni, to ciągle zakrywały go gęste, czarne chmury, płynące pośpiesznie jak wzburzone fale.

By dotrzeć do hotelu Lanterne, znajdującego się przy ulicy niegdyś zwanej ulicą Arcybiskupstwa, obecnie – Bogini Rozumu, trzeba było przejść przez plac du Marché, na krańcu którego wznosiło się jakieś rusztowanie. Zamyślony chłopiec omal się z nim nie zderzył.

– Uważaj, obywatelu Charles – ostrzegł go ze śmiechem stajenny – bo zniszczysz gilotynę.

Młody człowiek krzyknął i cofnął się przerażony. Akurat w tym momencie na kilka sekund ukazał się księżyc. W jego świetle straszny instrument był przez chwilę widoczny, a błądy i smutny promień odbijał się w ostrzu gilotyny.

– O Boże! Czy jej się używa? – naiwnie zapytał dzieciak, tuląc się do Koklesa.

– Jak to, czy jej się używa? – zawołał tenże wesoło. – No oczywiście, nawet codziennie. Dziś przyszła kolej na matkę Raisin. Została ścięta pomimo jej osiemdziesięciu lat. Mogła sobie krzyknąć do kata: „Nie warto mnie zabijać, synku. Poczekaj nieco, a sama zemrę bez pomocy”. Gibnęła się, jakby miała lat dwadzieścia.

– A co uczyniła ta biedna kobieta?

– Dała kawałek chleba wygłodniałemu Austriakowi. Mogła sobie mówić, że poprosił ją po niemiecku, więc wzięła go za rodaka. Odpowiedziano jej, że od czasów nie pamiętam już jakiego tyрана, Alzatzycy przestali być rodakami Austriaków.

Biedny dzieciak, który po raz pierwszy w życiu opuścił rodzinny dom i nigdy dotąd nie doznał tylu wrażeń w ciągu jednego wieczora, poczuł, że jest mu bardzo zimno. Sprawiała to pogoda, a może relacja Koklesa. W każdym razie, spojrzawszy raz jeszcze na instrument śmierci, który przy chowającym się księżycu niknął w nocy niczym upiorna zjawa, zapytał, szcękając zębami:

– Daleko jeszcze do oberży Lanterne?

– Och, całkiem blisko, to już tutaj – odpowiedział Kokles, wskazując olbrzymią latarnię zwieszoną nad bramą wjazdową i oświetlającą ulicę w promieniu dwudziestu kroków.

– Nareszcie! – szepnął młody człowiek, dzwoniąc zębami.

Pokonawszy biegiem pozostały odcinek drogi, czyli ostatnie dziesięć lub dwanaście kroków, otworzył wychodzące na ulicę drzwi hotelu i z okrzykiem zadowolenia puścił się pędem do kuchni, do wielkiego kominka, na którym buzował obfity ogień. Na ów okrzyk odpowiedział podobny okrzyk pani Teutch, która w przybytku, choć widziała go po raz pierwszy, odgadła powierzonego jej pieczy młodego człowieka, co zresztą potwierdziło pojawienie się na progu Koklesa z latarnią.



Rozdział II

Obywatelka Teutch

Obywatelka Teutch, grubiutka Alzatka w wieku od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat, darzyła nader matczynym uczuciem podróżnych, których zsyłała jej Opatrzność. Owo matczyne uczucie potęgowało się, jeśli podróżni byli młodymi i ładnymi dziećmi w takim wieku, jak właśnie ten chłopak, który usadowił się przy palenisku jej kuchni. Natychmiast do niego podeszła, a ponieważ ciągle dygotał, wyciągając swe stopy i dłonie do ognia, spytała:

– Och, mój biedny chłopcze, dlaczego tak drżysz i jesteś tak bładny?

– Pani obywatelko – odezwał się Kokles ze swym grubiańskim śmiechem – całkiem pewny nie jestem, ale zdaje mi się, że on drży, bo jest mu zimno. A jest bładny, bo zderzył się z gilotyną. Chyba dotychczas nie znał tego urządzenia. Zrobiło na nim wrażenie. Ach te dzieci, jakież one są głupie!

– Dajże spokój, cymbale!

– Z podziękowaniem, burżujko, to mój napiwek, prawda?

– Nie, przyjacielu – wtrącił się Charles, wyciągając z kieszeni monetę su¹⁹ – oto napiwek, proszę!

– Dziękuję, obywatelu – odparł Kokles, jedną dłonią uchylając kapelusza, a wyciągając drugą. – O cholera! Srebrna moneta. Zatem nadal istnieją we Francji? A ja myślałem, że całkiem zniknęły. Teraz widzę, że tak jak mówił Tétrell, to są plotki rozsiewane przez arystokratów.

– No, dość tego, wynoś się do swoich koni i zostaw nas w spokoju! – krzyknęła obywatelka Teutch.

Kokles wyszedł, mrużąc coś pod nosem.

Pani Teutch usiadła i mimo delikatnych protestów Charles'a wzięła go na kolana. Powiedzieliśmy już, że miał prawie czternaście lat, ale wyglądał na jedenaście lub dwanaście.

– Posłuchaj, mój mały przyjacielu, co ci teraz powiem dla twego własnego dobra – rzekła. – Jeśli masz pieniądze, nie trzeba ich pokazywać lecz wymienić część na asygnaty²⁰. Asygnaty mają ustalony kurs i luidor²¹ jest warty pięćset franków. Zyskasz na wymianie i unikniesz podejrzeń, że jesteś arystokratą.

Następnie, zmieniając temat, stwierdziła:

– Och, jakże zimne dłonie ma ten biedny malec.

Ujęła jego ręce i przysunęła je do paleniska, jakby był małym dzieckiem.

– A oto co teraz zrobimy – oznajmiła. – Najpierw niewielka kolacja...

– Och, jeśli o to chodzi, nie ma potrzeby! Bardzo pani dziękuję. Jedliśmy w Erstein i wcale nie jestem głodny. Natomiast chciałbym się położyć. Myślę, że w pełni rozgrzeję się dopiero w łóżku.

– No dobrze! Zatem najpierw nagrzejemy ci łóżko. A potem, gdy będziesz już w pościele, dostaniesz porządną filiżankę... Co byś wolał: mleko czy bulion?

¹⁹ Su – ówczesna drobna moneta równa 1/20 franka (5 centymów).

²⁰ Asygnaty – papierowe pieniądze emitowane we Francji podczas rewolucji, pokryciem dla nich były dobra narodowe, ich wartość ulegała ciągłej inflacji.

²¹ Luidor (fr. *louis d'or* – dosłownie *złoty ludwik*) – złota moneta z podobizną króla (Ludwika) bita od 1640 do 1791 roku.

– Poproszę o mleko.

– Niech będzie mleko! Biedny maluch, jeszcze niedawno był przy piersi, a teraz jak dorosły sam odbywa tak dalekie podróże. Och, w jakich to czasach przyszło nam żyć!

I wzięwszy Charles'a na ręce, tak jak bierze się dziecko, posadziła go na krześle, a sama poszła w stronę półki z kluczami, aby zobaczyć, jakimi pokojami dysponuje.

– Cóż my tu mamy – mówiła do siebie. – Może być „piątka”... Nie, pokój jest za duży, a okno źle się domyka. Miałoby zimno, biedne dziecko. „Dziewiątka”... Nie, to pokój z dwoma łózkami. O! „Czternastka”! Ten będzie mu odpowiadał: pokój z wygodnym łóżeczkiem wyposażonym w zasłony, które strzegą przed przeciągami, i śliczny mały kominek, który nie dymi, przyozdobiony Dzieciątkiem Jezus. To przyniesie mu szczęście. Gretchen! Gretchen!

Na ten okrzyk przybiegła ładna Alzatka lat około dwudziestu, ubrana w ów wdzięczny strój, który przypominał nieco odzienie kobiet z Arles.

– Co gospodyni rozkaże? – spytała po niemiecku.

– Trzeba przygotować „czternastkę” dla tego oto cherubina. Wybierz delikatną i suchą pościel. Ja w tym czasie przygotowuję mu grzane mleko z jajkiem i cukrem.

Gretchen zapaliła świecę i zabrała się do pracy.

Obywatelka Teutch wróciła do Charles'a.

– Czy znasz niemiecki? – spytała.

– Nie, proszę pani. Ale jeśli długo będę w Strasburgu, na co się zanosi, to mam nadzieję się nauczyć.

– Czy wiesz, dlaczego daję ci numer czternasty?

– Tak, słyszałem, co pani mówiła w swym monologu...

– Słodki Jezu! W moim monologu! A co to takiego?

– Proszę pani, to francuskie słowo pochodzi od dwóch greckich słów: *monos*, które oznacza *sam*, i *logos*, które znaczy *rozmawiać*.

– Drogie dziecko, w tym wieku znasz grekę! – Mówiąc to, pani Teutch złożyła dłonie.

– Och! słabo, proszę pani. To właśnie po to, by dobrze jej się nauczyć, przybyłem do Strasburga.

– Przyjechałeś, by uczyć się greki?

– Tak, u pana Eulogèa Schneidera.

Pani Teutch pokręciła głową.

– Och, proszę pani, on zna grekę jak Demostenes – przekonywał Charles, sądząc, że pani Teutch wątpi w wiedzę jego przyszłego profesora.

– Temu ja nie zaprzeczam. Ale nawet jeśli ją zna, nie będzie miał czasu, aby cię uczyć.

– A czymże on się zajmuje?

– Chcesz to wiedzieć?

– Oczywiście, chcę wiedzieć.

Pani Teutch ściszyła głos.

– Ścina głowy – oznajmiła.

Charles zadrżał.

– Ścina... głowy? – powtórzył pytająco.

– Czy nie słyszałeś, że jest oskarżycielem publicznym? O, moje biedne dziecko, ojciec ci wybrał szczególniego profesora greki.

Chłopiec zamyślił się na chwilę.

– Czy to właśnie on – spytał – kazał dziś ściąć głowę matce Raisin?

– Nie, to Propaganda.

– A co to jest Propaganda?

– To jest stowarzyszenie do szerzenia idei rewolucyjnych. Każdy ścina na własną rękę: obywatel Schneider jako oskarżyciel publiczny, obywatel Saint-Just jako przedstawiciel ludu, a obywatel Tétrelle jako szef Propagandy.

– To jedna gilotyna nie wystarczy dla nich wszystkich – stwierdził młody człowiek z uśmiechem kontrastującym z jego wiekiem.

– Toteż każdy ma swoją!

– Jestem przekonany – szepnął dzieciak – że mój ojciec o tym wszystkim nie wiedział, gdy mnie tutaj wysłał.

Chwilę się zastanowił, a następnie ze stanowczością, która dowodziła młodzieńczej odwagi, oznajmił:

– Skoro już tu jestem, zostanę.

Następnie zmienił temat:

– Pani Teutch, zatem mówiła pani, że dostaję pokój numer czternaście, bo jest mały, posiada łóżko z zasłonami, a kominek nie dymi.

– Jest jeszcze jeden powód, mój miły chłopcze.

– Co takiego?

– Ponieważ w „piętnastce” będziesz miał kolegę trochę od ciebie starszego. Ale to nic nie szkodzi, rozweselisz go.

– Więc on jest smutny?

– Och, bardzo smutny. Ma ledwo piętnaście lat, a jest już niemal dorosły. W rzeczy samej jest tutaj w bardzo niefortunnej sprawie. Jego ojca, który dowodził Armią Renu przed obywatelem Pichegru, oskarżono o zdradę. Wyobraź sobie, że ten biedny, pocziwy człowiek mieszkał tutaj. I jestem gotowa przysiąc na wszystko, że nie zawinił bardziej niż ja lub ty. Ale on jest jednym z *ci-devant*²², a im się nie ufa, jak wiesz. Powiadam więc, że ten młody człowiek znalazł się tutaj, by kopiować dokumenty, które mają udowodnić niewinność jego ojca. To święte dziecko, zobaczysz. Poświęca się tej sprawie od rana do wieczora.

– No to mu pomogę – powiedział Charles. – Bardzo dobrze piszę.

– To się świetnie składa, oto czym jest dobry kolega.

I w porywie zachwytu pani Teutch ucałowała swego gościa.

– Jak on się nazywa? – spytał Charles.

– Nazywa się obywatel Eugène.

– Eugène to tylko imię.

– Tak, istotnie, on ma nazwisko i to śmieszne nazwisko. Poczekaj! Jego ojciec był markizem... poczekaj chwilę...

– Czekam, pani Teutch, czekam – roześmiał się dzieciak.

– To taki sposób mówienia. Wiesz przecież, że tak się mówi... Jego nazwisko pochodzi od tego, co zakłada się na konia... od uprzęży... Beauharnais²³. Tak jest – Eugène de Beauharnais. Ale sądzę, że to z powodu owego *de* nazywa go się po prostu Eugèneem.

Rozmowa przypomniawszy młodemu człowiekowi polecenie Tétrelle.

– À propos, pani Teutch – powiedział – czy mieszka u pani dwóch komisarzy z Besançon?

²² *Ci-devant* – określenie nadawane przedrewolucyjnym arystokratom, można je tłumaczyć jako *niegdysiejszy*.

²³ *Beau harnais* – dosłownie piękna uprzęż.

– Tak, którzy przybyli tutaj, by upomnieć się o waszego rodaka, pana generała adiutanta Perrina.

– Uda im się go uratować?

– Ha, generał nie miał zamiaru czekać na decyzję Saint-Justa.

– A co takiego zrobił?

– Uciekł ostatniej nocy.

– I nie schwytano go?

– Aż do tej chwili, nie.

– Bardzo się cieszę. Był przyjacielem mojego ojca, a ja również go lubiłem.

– Nie chwał się tym tutaj.

– A moi dwaj rodacy?

– Panowie Dumont i Ballu?

– Tak. Dlaczego ciągle są tutaj, skoro ten, w sprawie którego przyjechali, jest już na wolności?

– Będzie sądzony zaocznie, a oni zamierzają bronić go nieobecnego tak samo, jak gdyby był obecny.

– Tak! – szepnął chłopiec – teraz rozumiem radę obywatela Tétrella.

A głośno spytał:

– Czy jeszcze dziś wieczorem mógłbym się z nimi widzieć?

– Z kim?

– Z obywatelami Dumontem i Ballu.

– Z pewnością. Możesz się z nimi widzieć, jeśli zechcesz zaczekać. Ale oni bywają w Klubie Praw Człowieka i nie wracają nigdy przed drugą nad ranem.

– Nie mogę na nich czekać. Jestem zbyt zmęczony – powiedział dzieciak. – Ale pani może im przekazać list ode mnie, prawda?

– Oczywiście.

– Tylko im, do rąk własnych?

– Tylko im, do rąk własnych.

– Gdzie mogę go napisać?

– W biurze, jeśli już się rozgrzałeś.

– W zupełności.

Pani Teutch wzięła ze stołu lampę i zaniósła ją na biurko mieszczące się w małym gabinecie zamykanym kratą przypominającą obudowę klatki dla ptaków. Młody człowiek podążył za nią.

Na papierze noszącym pieczętkę hotelu Lanterne Charles napisał:

Rodak, który wie z pewnego źródła, że macie zostać niechybnie aresztowani, radzi wam jak najszybciej wracać do Besançon.

Złożywszy i zapieczętowawszy list, podał go pani Teutch.

– A dlaczego się nie podpisałeś? – spytała gospodyni.

– To bez znaczenia. Oczywiście może im pani powiedzieć, że list pochodzi ode mnie.

– Z pewnością tak uczynię.

– Jeśli będą tu jeszcze jutro rano, proszę im powiedzieć, aby nie wyjeżdżali, zanim z nimi nie porozmawiam.

- Bądź o to spokojny.
- Pokój gotowy – oznajmiła Gretchen, wchodząc ze stukiem chodaków.
- Łóżko zasłane? – spytała pani Teutch.
- Tak, szefowo – odparła Gretchen.
- Ogień rozpalony?
- Tak.
- Zatem rozgrzej szkandełę²⁴ i zaprowadź obywatela Charles'a do jego pokoju. Ja przygotuję mu mleczny napój.

Obywatel Charles był tak zmęczony, że bez protestów podążył za panną Gretchen i jej szkandełą.

Dziesięć minut później pani Teutch weszła do jego pokoju z mlecznym napojem w rękę. Podała go do wypicia na wpuł śpiącemu Charles'owi, budząc go lekkimi uderzeniami w policzki. Z matczyną czułością poprawiła okrycie, życzyła dobrego snu i wyszła, zabierając światło.

Niestety, życzenia dobrej pani Teutch spełniły się tylko częściowo, o szóstej rano bowiem wszystkich gości oberży Lanterne obudziły krzyki i szcęk broni. Żołnierze z łoskotem uderzali kolbami karabinów o posadzkę. Korytarze rozbrzmiewały odgłosem pośpiesznych kroków. A drzwi jedne po drugich otwierały się z łomotem.

Obudzony Charles podniósł się z łóżka.

W tym samym momencie jego pokój wypełnił się jednocześnie światłem i hałasem. Agenci policji w towarzystwie żandarmów wpadli do pomieszczenia, brutalnie wyciągnęli chłopca z łóżka, spytali o nazwisko, o imiona, o powód pobytu w Strasburgu i o to, kiedy tutaj przybył. Zajrzeli pod łóżko, przeszukali kominek, pootwierali szafy i wyszli tak, jak weszli, pozostawiając oszołomione dziecko w koszuli na środku pokoju.

Było oczywiste, że u pani Teutch dokonano jednej z tych policyjnych wizyt, jakie często zdarzały się w owej epoce. Lecz nowo przybyły nie był jej celem. Chłopak uznał zatem, że pozostało mu jedynie zamknąć drzwi na korytarz, położyć się do łóżka i ponownie zasnąć, o ile będzie to jeszcze możliwe.

Podjętą decyzję wprowadził w czyn. Ledwie jednak schował nos pod kołdrę, a w hotelu zapanowała cisza, gdy drzwi pokoju ponownie się otworzyły i weszła przez nie pani Teutch ze świecznikiem w dłoni, zalotnie ubrana w biały szlafrok. Poruszała się bezszelestnie, otworzyła drzwi bez hałasu i gestem nakazała milczenie Charles'owi, który, uniósłszy się na łokciu, spoglądał na nią ze zdumieniem. Przyzwyczajony już do burzliwego życia, choć stało się ono dlań takim dopiero od wczoraj, chłopak w milczeniu zastosował się do wydanego mu polecenia.

Obywatelka Teutch pieczołowicie zamknęła za sobą drzwi na korytarz. Następnie, postawiwszy świecznik na kominku, ostrożnie przesunęła krzesło i siadła u wezglowia łóżka młodego człowieka.

- No i co, mój mały przyjacielu – zagadnęła – bardzo się przestraszyłeś, prawda?
- Nie bardzo, proszę pani – odpowiedział Charles – bo dobrze wiedziałem, że ci ludzie nie mnie szukają.
- Mniejsza o to. W samą porę ostrzegłeś swoich rodaków.
- A! to o nich chodziło?

²⁴ Szkanдела – płaskie mosiężne naczynie wypełnione gorącą wodą, żarzącymi się węglami lub inną substancją służące do ogrzewania pościeli, przodek termoforu.

– Właśnie o nich. Na szczęście, gdy wrócili o drugiej w nocy, oddałam im twój list. Dwukrotnie go przeczytali. Spytali, kto list napisał. Powiedziałam im, że to ty i kim jesteś. Chwilę się naradzali i zadecydowali: „Szybko, trzeba wyjeżdżać bez wahania!”. Natychmiast przystąpili do pakowania waliz, kazawszy Zaspnemu dowiedzieć się, czy są jeszcze miejsca w dylżansie, który o piątej rano wyjeżdżał do Besançon. Mieli szczęście – pozostały dwa miejsca. Zaspny je zarezerwował, ale żeby mieć pewność, że nikt miejsc nie przechwyci, opuścili hotel o czwartej rano. Ostatecznie byli już od godziny w drodze do Besançon, gdy w imieniu prawa zastukano do drzwi hotelu. Ale wyobraź sobie, byli tak niezręczni, że zapomnieli napisanego przez ciebie listu lub go zgubili. No i policjanci go znaleźli.

– Och, to bez znaczenia! List nie był podpisany, a nikt w Strasburgu nie zna charakteru mego pisma.

– Tak, ale napisany został na papierze z pieczętką hotelu Lanterne. Zwrócili się do mnie z pytaniem, kto pisał list na moim papierze.

– Tam, do licha!

– Wiesz dobrze, że raczej dałabym sobie wydrzeć serce, niż powiedziała im prawdę. Mój drogi biedaku, przecież by cię zabrali! Odpowiedziałam, że gdy goście proszą o papier listowy, dostarcza im się do pokoju papier hotelowy. A ponieważ w hotelu przebywa około sześćdziesięciu gości, to nie jestem w stanie stwierdzić, kto użył mego papieru do napisania owego listu. Chcieli mnie nawet zaarrestować. Odpowiedziałam, że jestem gotowa pójść z nimi, ale to się nie zda na nic, bo przecież to nie mnie obywatel Saint-Just kazał zamknąć w więzieniu. Przyznali rację mym argumentom i odeszli ze słowami: „Dobrze, dobrze, ale któregoś dnia...!”. Odpowiedziałam: „Szukajcie!”, no i szukają! Przysłałam cię jednak uprzedzić, abyś o sprawie nie wspomniał nikomu ani słowem. A jeśli by cię oskarżono, kategorycznie zaprzeczaj, że to ty napisałeś ten list.

– Jeśli by do tego doszło, będę wiedział, co mam robić, a tymczasem bardzo pani dziękuję, pani Teutch.

– I jeszcze jedna uwaga, mój mały pocziwcz. Gdy jesteśmy sami, możesz mnie nazywać panią Teutch. Ale w obecności innych zwracaj się do mnie w zauważalny sposób – obywatelko Teutch. Nie przypuszczam, by Zaspny był zdolny do podłego czynku, ale to nadgorliwiec. A kiedy głupcy stają się nadgorliwcami, to tracę do nich zaufanie.

Po tym stwierdzeniu, które wskazywało zarówno na jej ostrożność, jak i na przenikliwość, pani Teutch się podniosła, zdmuchnęła migoczącą na kominku świecę, bo nastał już dzień, i wyszła.



Rozdział III

Euloge Schneider

Przed wyjazdem z Besançon ojciec zapoznał Charles'a ze zwyczajami jego przyszłego nauczyciela Eulogęa Schneidera. Wiedział, że codziennie o szóstej rano był on już na nogach. Pracował do ósmej i o tej godzinie jadł śniadanie. Wypalał fajkę i znów pracował aż do momentu wyjścia z domu, które przypadało między godziną pierwszą a drugą.

Nasz młody bohater uznał więc, że nie ma sensu ponownie kłaść się spać. W grudniu dzień w Strasburgu wstaje późno. A w ciasnych ulicach miasta jasność dnia potrzebuje sporo czasu, by osiągnąć poziom parteru. Było około wpół do ósmej. Zakładając, że potrzebował pół godziny na ubranie się i dojście z hotelu Lanterne do domu rządowego komisarza, Charles przybył do niego akurat w porze śniadania.

Kończył się stroić najbardziej elegancko, jak potrafił, gdy nadeszła pani Teutch.

– O Jezu! – wykrzyknęła. – Czy ty się wybierasz na wesele?

– Nie – odpowiedział chłopak. – Idę do pana Schneidera.

– Mój drogi, czyś ty się zastanowił? Wyglądasz jak arystokrata. Gdybyś miał lat osiemnaście zamiast trzynastu, tylko na tej podstawie obcięto by ci głowę. Precz z tym pięknym strojem! Włóż ubranie podróżne, to, które nosiłeś wczoraj. Jest ono wystarczająco dobre na wizytę u kapucyna z Kolonii.

I obywatelka Teutch zręcznymi ruchami rozebrała i ponownie ubrała młodego lokatora, który pozwalał jej na to, oczarowany zręcznością swej gospodyni, rumieniąc się nieco przy dotykach pulchnych dłoni, których bladeść zdradzała kokieterię.

– No! – powiedziała. – Teraz możesz iść na spotkanie z tym człowiekiem. Ale uważaj, by zwracać się do niego na ty i nazywać go obywatelem. W przeciwnym razie, pomimo wszystkich rekomendacji, które posiadasz, może ci się przytrafić nieszczęście.

Młody człowiek podziękował jej za dobre rady i spytał, czy nie ma jeszcze jakichś innych uwag.

– Nie – potrząsnęła głową – nie, chyba tylko, żebyś wracał jak najszybciej, bo dla ciebie i dla twego sąsiada z „piętnastki” przygotuję tak dobre śniadanie, że nawet on, będąc *ci-devant*, jeszcze nigdy takiego nie jadł. A teraz szybko, w drogę!

Pani Teutch pokochała swego nowego gościa owym macierzyńskim uczuciem, które natura wlewa w serca wszystkich kobiet, i postawiła sobie za zadanie kierowanie jego krokami. Natomiast on, będąc młodym i odczuwając potrzebę oparcia w tym łagodnym przywiązaniu kobiety, które czyni życie lżejszym, był całkowicie gotowy jej się podporządkować niczym własnej matce.

Pozwolił się zatem ucałować w oba policzki i dowiedziawszy się, gdzie mieszka obywatel Euloge Schneider, wyszedł z hotelu Lanterne, by w *szerokim świetle*, jak mawiają Niemcy, uczynić ten pierwszy krok, od którego nieraz zależy całe życie.

Przechodząc obok katedry, omal nie zginął z powodu swej nieuwagi. Głowa jakiegoś świętego upadła u jego stóp, a zaraz po niej – tors Madonny obejmującej Dzieciątko.

Spojrzał w kierunku, skąd pochodziły dwa pociski, i w portalu wspaniałej budowli spostrzegł człowieka, który siedział okrakiem na ramionach posągu jednego z apostołów. Osobnik ów trzymany w ręku młotkiem siał wśród świętych spustoszenie, którego efekty znała-

zły się u stóp naszego bohatera. Około tuzina osób ze śmiechem oklaskiwało tę profanację.

Dzieciak minął plac Breuil i zatrzymał się przed domem o skromnym wyglądzie, a wszedłszy po trzech stopniach, zastukał do małych drzwi.

Stara, opryskliwa służąca, która mu otworzyła, zadała mnóstwo pytań. A gdy na wszystkie odpowiedział, mrużąc coś, wprowadziła go do jadalni i oznajmiła:

– Poczekaj tutaj. Gdy obywatel Schneider przyjdzie na śniadanie, to z nim porozmawiasz, skoro twierdzisz, że masz mu coś do powiedzenia.

Kiedy znalazł się sam, Charles szybkim spojrzeniem zlustrował pomieszczenie. Urządzona z prostotą jadalnia o ścianach wyłożonych boazerią za jedyną dekorację miała dwie skrzyżowane szable.

Po chwili za starą służącą wszedł straszny oskarżyciel publiczny Rewolucyjnej Komisji Dolnego Renu.

Przechodząc obok młodego człowieka, nawet go nie zauważył, a przynajmniej nie dał tego po sobie poznać. Zasiadł do stołu i dzielnie zaatakował piramidę ostryg wspartą daniem z sardeli²⁵ i miską oliwek.

Skorzystajmy z chwilowej pauzy, aby w kilku liniach skreślić fizyczny i moralny portret tego dziwnego człowieka, w obecności którego znalazł się Charles.



²⁵ Sardela – gatunek niewielkich morskich ryb.

Jean-Georges Schneider, który sam nadał sobie lub raczej – zabrzmi to lepiej – przyjął imię *Euloge*, miał trzydzieści siedem lub trzydzieści osiem lat. Był brzydki, gruby, niski i pospolity. Posiadał grube członki, krągłe barki i okrągłą głowę. Tym, co w pierwszej chwili uderzało w jego dziwnej fizjonomii, były przycięte na jeża włosy i pozostawione swobodnemu rozrostowi grube, długie brwi. Te krzaczaste brwi, czarne i bujne, ocieniały dzikie oczy okolone rudymi rzęsami.

Zaczynał jako mnich, stąd jego przydomek *kapucyn z Kolonii*, którego nie był w stanie przenieść w niepamięć imieniem Euloge. Urodzony we Frankonii, syn ubogich rolników, swym nadzwyczajnym, objawianym już w dzieciństwie zdolnościom zawdzięczał protekcję miejscowego kapelana, który nauczył go podstaw łaciny. Szybkie postępy pozwoliły go posłać do Würzburga na naukę w gimnazjum prowadzonym przez jezuitów, a po trzech latach został przyjęty do Akademii. Wydalony z szacownego towarzystwa z powodu złego prowadzenia się, popadł w skrajną nędzę i wstąpił do klasztoru franciszkanów w Bambergu.

Po ukończeniu studiów uznano, że nadaje się na nauczyciela hebrajskiego i wysłano go do Augsburga. W roku 1786 objął posadę kaznodziei na dworze księcia Karola Wirtemberskiego. Jego kazania cieszyły się powodzeniem, a stanowisko przynosiło dochody, z których trzy czwarte przeznaczał na wsparcie dla swej rodziny. Podobno tam właśnie przystąpił do sekty iluminatów zorganizowanej przez słynnego Weishaupta²⁶. To tłumaczy gorliwość, z jaką przyjął zasady rewolucji francuskiej. W tym okresie, przepełniony ambicjami, mając dość podporządkowywania się, pałający gorącymi pasjami, opublikował tak liberalny katechizm, że został zmuszony do ucieczki za Ren. Osiedlił się w Strasburgu, gdzie dwudziestego siódmego czerwca 1791 roku został biskupim wikariuszem i dziekanem wydziału teologii. Będąc dalekim od odmowy przysięgi na konstytucję, nie tylko ją złożył, ale ponadto ze szczególną pasją głosił w katedrze kazania, w których mieszał sprawy polityczne z nauczaniem Kościoła.

Jeszcze przed dziesiątym sierpnia²⁷, podkreślając, że był republikaninem, domagał się destytucji Ludwika XVI. Od tego czasu zaciekle i z odwagą zwalczał partię rojalistyczną, która w Strasburgu, a jeszcze bardziej w jego okolicach, cieszyła się dużym poparciem. Ta walka sprawiła, że pod koniec 1792 roku powołano go na urząd mera w Hagenau. Wreszcie, siedemnastego lutego 1793 roku, został nominowany na oskarżyciela publicznego przy trybunale Dolnego Renu, a piątego maja tego samego roku objął stanowisko komisarza przy trybunale rewolucyjnym Strasburga. Wtedy właśnie objawiła się u Schneidera owa okropna żądza krwi, która miała swe źródło w jego wrodzonej agresywności. Gdy w Strasburgu brakowało zajęcia dla oskarżyciela publicznego, opanowany gorączkowym pragnieniem działania, wędrował po okolicach ze swą straszną eskortą, wożąc z sobą gilotynę i kata. Wystarczał mu zwykły donos, by zatrzymać się w mieście lub wiosce, gdzie nie spodziewano się nawet ujrzeć kiedykolwiek złowroźny instrument. Na miejscu organizował proces, oskarżał i skazywał. Przy okazji tej krwawej orgii wymuszał nominalną wartość asygnat, która faktycznie spadała o osiemdziesiąt pięć procent, na zakupy dla wojska. W rezultacie on sam dostarczał armii, której brakowało wszystkiego, więcej zboża niż wszyscy komisarze okręgu razem wzięci.

²⁶ Adam Weishaupt (1748-1830) – niemiecki filozof i teolog, zwolennik deizmu i republikanizmu; w roku 1776 założył w Bawarii tajne stowarzyszenie propagujące idee oświecenia – zakon iluminatów, któremu przypisywano m.in. wywołanie rewolucji francuskiej.

²⁷ *Dziesiąty sierpnia* (1792 roku) – dzień zdobycia szturmem pałacu Tuileries i de facto obalenia monarchii we Francji (król z rodziną został umieszczony w więzieniu Temple).

Od piątego listopada do jedenastego grudnia, czyli do dnia przyjazdu Charles'a, Schneider posłał na śmierć w Strasburgu oraz w Mutzig, Barr, Obernai, Epfig i Schletstadt łącznie trzydzieści jeden osób.

Choć nasz młody przyjaciel nie znał większości przytoczonych szczegółów, a zwłaszcza ostatniego, nie bez uczucia uzasadnionego lęku patrzył na strasznego prokonsula, którego miał przed sobą. Lecz zdawszy sobie sprawę, że w przeciwieństwie do innych miał protektora w osobie, która tamtym zagrażała, szybko odzyskał zimną krew, a szukając przez chwilę sposobu na zagajenie rozmowy, postanowił, że posłużą do tego ostrzygi jedzone przez Schneidera.

– *Rara concha in terris*²⁸ – powiedział z uśmiechem swym cienkim głosikiem.

Euloge spojrział w jego stronę.

– Czyżbyś przypadkiem uważał, brzdącu, że jestem arystokratą?

– Niczego nie uważam, obywatelu Schneider. Ale wiem, że jesteś uczony, więc aby zwrócić twą uwagę na biednego malca, którego nawet nie zauważyłeś, przytoczyłem kilka słów w bliskim ci języku, będących w dodatku cytatem z autora, którego lubisz.

– Na honor, ładnie to powiedziane.

– Bardziej będąc poleconym Eulogowi niż obywatelowi Schneiderowi, muszę się okazać jak najbardziej wymownym, by być godnym owej rekomendacji.

– A któż cię polecił? – spytał Euloge, ustawiając swe krzesło tak, by znaleźć się naprzeciw.

– Mój ojciec. A oto jego list.

Euloge wziął papier i rozpoznając pismo, zawołał:

– Ach, toż to stary przyjaciel!

Następnie z uwagą przeczytał list i oznajmił:

– W naszych czasach twój ojciec jest z pewnością jednym z ludzi najpoprawniej piszących po łacinie.

A wyciągając rękę do chłopca, zaproponował:

– Czy chcesz zjeść ze mną śniadanie?

Charles spojrział na stół, a wyraz jego twarzy niechybnie zdradził brak entuzjazmu dla posiłku bardzo wyszukanego i zarazem skąpego.

– Nie chcesz, rozumiem. – Schneider się roześmiał. – Dla twego młodego żołądka potrzeba czegoś bardziej konkretnego niż sardele z oliwkami. Przyjdź na obiad. Jem dzisiaj w towarzystwie trzech przyjaciół. Gdyby twój ojciec był tutaj, dołączyłby do nas. Ty go zastąpisz. Szklaneczka piwa za zdrowie twego taty?

– A, to z przyjemnością! – zawołał chłopak, biorąc naczynie i stukając nim o szkło uczonego. Ale ponieważ szklanka była spora, zdołał wypić tylko połowę.

– Cóż to...? – zdziwił się Schneider.

– Resztę wypijemy nieco później, na cześć Republiki – wyjaśnił dzieciak – bo szklanka jest dla mnie trochę za duża. Nie jestem w stanie jej opróżnić za jednym razem.

Schneider przyglądał mu się z pewnym rozczuleniem.

– Na honor, jest bardzo miły – mruknął.

A ponieważ w tym momencie stara służąca przyniosła niemieckie i francuskie gazety, spytał:

²⁸ *Rara concha in terris* (łac.) – rzadka na świecie muszla, parafraza zwrotu *Rara avis in terris* (rzadki na świecie ptak) pochodzącego z *Satyr* rzymskiego poety Juwenalisa (60-127), który stał się przysłowiowym określeniem czegoś rzadkiego, wyjątkowego.

– Znasz niemiecki?
– Ani słowa.
– To nic. Nauczymy cię.
– Greki też?
– Greki też. Zatem masz ambicje nauczyć się greki?
– To moje jedyne pragnienie.
– Postaramy się je zaspokoić. Masz. Oto francuski „Monitor”. Czytaj, podczas gdy ja zajmę się „Gazetą Wiedeńską”.

Gdy obydwaj zagłębili się w lekturze, na chwilę zapanowała cisza.

– Ho, ho! – zawołał Euloge, czytając: – „Obecnie Strasburg z pewnością został zdobyty, a nasze zwycięskie wojska przypuszczalnie maszerują na Paryż”. Oni tam nie biorą pod uwagę Pichegru, Saint-Justa i mnie!

– „Opanowane zostały wysunięte umocnienia Tulonu – czytał z kolei na głos Charles – i przed upływem trzech lub czterech dni całe miasto znajdzie się w naszych rękach, a Republika zostanie pomszczona”

– Z jaką datą jest twój „Monitor”? – spytał Euloge.

– Z ósmego – odpowiedział dzieciak.

– Czy donoszą coś więcej?

– „Podczas obrad w dniu szóstego Robespierre odczytał odpowiedź na manifest moralności koalicyjnej. Konwent zlecił jej wydruk i tłumaczenie na wszystkie języki”.

– I dalej? – dopytywał się Schneider.

– „Siódmego Billaud-Varennes²⁹ oznajmił, że buntownicy z Wandei, usiłujący opanować miasto Angers, zostali pobici i przepędzeni przez miejscowy garnizon, któremu pomagali mieszkańcy”.

– Niech żyje Republika! – wykrzyknął Schneider.

– „Pani du Barry³⁰ skazana na śmierć siódmego, tego samego dnia została ścięta razem z bankierem Van Deniverem, jej kochankiem. Ta stara ładaczniczka kompletnie straciła głowę, nim kat ją jej pozbawił. Płakała, wrywała się, wołała o pomoc, lecz lud odpowiedział na to jedynie wyciem i przekleństwami. Nie zapomniano marnotrawstwa, którego ona i jej podobni się dopuszczali, i że to marnotrawstwo doprowadziło do powszechnej nędzy”.

– Podła...! – skomentował Schneider. – Po zbezczeszczeniu tronu brakowało tylko, żeby jeszcze zbezczeszczyła szafot.

W tym momencie weszło dwóch żołnierzy, których mundury – bliskie Schneiderowi – przestraszyły Charles’a. Ubrani byli na czarno. Na czakach poniżej trójkolorowej kokardy nosili dwie skrzyżowane piszczele. Białe naszywki na płaszczach i czarnych dolmanach³¹ sprawiały wrażenie żeber szkieletu. Na dodatek na szabeltasach³² nosili trupie czaszki nad skrzyżowanymi piszczelami.

²⁹ Jacques Nicolas Billaud-Varennes (1756-1819) – skrajny jakobin, członek Komuny Paryża, deputowany do Konwentu, członek Komitetu Ocalenia Publicznego, jeden z głównych odpowiedzialnych za wielki terror.

³⁰ Jeanne Becu, hrabina du Barry (1743-1793) – słynna kurtyzana, ostatnia kochanka króla Ludwika XV.

³¹ Dolman – dopasowana, zdobiona szamerunkiem kurtka wojskowa noszona w szczególności przez huzarów i konnych szaserów.

³² Szabeltas – płaska skórzana torba wojskowa zawieszona na rapciach wraz z szabłą, noszona zwłaszcza w lekkiej kawalerii.

Należeli do pułku Huzarów Śmierci³³, do którego można było wstąpić tylko po złożeniu przyrzeczenia, że nie będzie się brało jeńców.

Tuzin żołnierzy tego pułku stanął straż przyboczną Schneidera i służył mu za gońców. Na ich widok Euloge się podniósł.

– A teraz – zwrócił się do młodego podopiecznego – możesz tu pozostać lub sobie iść. Jesteś wolny. Ja muszę się zająć korespondencją. Nie zapomnij tylko, że o drugiej jest obiad, na który jesteś zaproszony.

I pożegnawszy Charles'a skinieniem głowy, udał się w towarzystwie posępnej eskorty do swego biura.

Propozycja pozostania nie była na tyle zobowiązująca, by młody człowiek jej się podporządkował. Podniósł się, gdy Schneider wychodził. Poczekał, aż wejdzie do swego biura razem z dwoma przerażającymi gwardzistami i drzwi się za nimi zamkną. Wtedy, schwyciwszy rodzaj toczka, który mu służył za nakrycie głowy, wypadł z pomieszczenia, przeskoczył trzy stopnie u drzwi wejściowych i co sił w nogach pobiegł prosto do kuchni poczciwej pani Teutch. Tam zawołał:

– Jestem z powrotem i umieram z głodu!



³³ *Huzarzy Śmierci* – formacja ubranych na czarno huzarów, utworzona w 1792 roku, złożona z ochotników paryskich, a później także z regionów północnych; w istocie był to szwadron, nie pułk.

Rozdział IV

Eugène de Beauharnais

Na okrzyk małego Charles'a, jak go nazywała, pani Teutch wyszła z położonej od strony podwórza jadalni i pojawiła się w kuchni.

– Ach, wróciłeś! – rzekła z ulgą. – Bogu dzięki! Biedny Tomciu Paluchu, potwór cię nie pożarł?

– Wręcz przeciwnie, był ujmujący i nie sędzę, aby miał aż tak ostre zęby, jak powiadają.

– Niech Bóg uchowa, abys się z nimi kiedykolwiek zetknął! Lecz jeśli dobrze słyszałam, to ty sam ostrzys zęby. Chodź tutaj. Zawołam twego przyszelego przyjaciela, który jak zwykle pracuje. Biedne dziecko.

I obywatelka Teutch ruszyła na piętro schodami z dziarskością, która wskazywała na potrzebę zużycia przepelniających ją zasobów energii.

Tymczasem Charles podziwiał szykujące się śniadanie, bodaj najsmakowitsze, jakie mu kiedykolwiek przygotowano.

Hałas otwieranych drzwi wyrwał go z zachwytu. Pojawił się w nich młody człowiek zapowiedziany przez obywatelkę Teutch.

Był to piętnastoletni młodzieniec o czarnych oczach i czarnych włosach, opadających na ramiona obfitymi puklami. Nosił eleganckie ubranie i koszulę nadzwyczajnej białości. Wszystko w nim zdradzało arystokratę, pomimo wysiłków, aby to ukryć. Z uśmiechem zbliżył się do Charles'a i wyciągnął dłoń.

– Nasza poczciwa gospodyni zapewniła mnie, obywatelu – powiedział – że będę miał przyjemność spędzić kilka dni w pańskim towarzystwie. Dodała też, że obiecał jej pan trochę mnie polubić. Niezmiernie mnie to cieszy, bo mam wrażenie, że ja polubię pana bardzo.

– Ja również! – zawołał Charles. – Z całego serca!

– Brawo, brawo! – rzekła pani Teutch, wchodząc. – A teraz, gdy już się przywitaliście jak dwaj wielcy panowie, co w dzisiejszych czasach jest dość niebezpieczne, uściskajcie się jak dwaj koledzy.

– Właśnie to chciałem zaproponować – przytaknął Eugène, a Charles rzucił się w jego ramiona.

I dwaj chłopcy uściskali się ze szczerością i z serdecznością, jakie cechują młodość.

– No cóż! – podjął starszy z nich. – Wiem, że pan ma na imię Charles. Ja jestem Eugène. Skoro więc znamy swe imiona, żywię nadzieję, że nie będziemy dla siebie ani panami, ani obywatelami. A ponieważ prawo nakazuje nam zwracać się do siebie na ty, nie sprawi panu większego problemu podporządkowanie się temu prawu. By nie być gołosłownym, zacznę od siebie i sam dam przykład. Charles, mój drogi, zapraszam do stołu! Umieram z głodu. A pani Teutch mówiła, że ty również masz wilczy apetyt.

– No proszę! – Pani Teutch nie kryła zachwytu. – Mój chłopcze, jak pięknie to wszystko wyraziłeś. Ach, ci *ci-devant*, ci niegdysiejsi panowie! Jakąż oni mieli klasę.

– Proszę tak nie mówić, obywatelko Teutch – roześmiał się Eugène. – Twoja porządna oberża powinna przyjmować wyłącznie sankiulotów.

– Wtedy musiałabym zapomnieć, panie Eugène, że miałam zaszczyt gościć pańskiego ojca. Bóg dobrze wie, że modłę się za niego rano i wieczorem.

– Niech się pani modli także za moją matkę, pocziwa pani Teutch. – Młody człowiek otarł łzę z oka. – Moja siostra Hortensja pisze, że mamę zaaresztowano i umieszczono w więzieniu w Karmelitów. Dziś rano otrzymałem list.

– Mój biedny przyjacielu! – zawołał Charles.

– W jakim wieku jest twoja siostra? – spytała pani Teutch.

– Ma dziesięć lat.

– Biedne dziecko! Proszę ją tutaj szybko sprowadzić. Zaopiekujemy się nią. W tym wieku nie może sama pozostawać w Paryżu.

– Dziękuję, pani Teutch, dziękuję. Lecz na szczęście siostra nie pozostała sama. Jest z babcią w naszym zamku La Ferté-Beauharnais. Ale oto wszystkich zasmuciłem, a przecież obiecałem sobie, że to nowe zmartwienie zachowam tylko dla siebie.

– Panie Eugène – odezwał się Charles – jeśli zamierzasz się w ten sposób zachowywać, to nie szukaj przyjaźni u innych. No cóż, aby ponieść karę, przez całe śniadanie będziesz opowiadał wyłącznie o ojcu, matce i siostrze.

Chłopcy zasiedli do stołu, a pani Teutch ich obsługiwała. Eugène nie miał najmniejszych trudności z wywiązaniem się z postawionego mu zadania. Opowiadał swemu młodemu towarzyszowi, że był ostatnim przedstawicielem szlacheckiej rodziny z okolic Orleanu. Jeden z jego przodków – Guillaume de Beauharnais poślubił w 1398 roku Marguerite de Bourges. Inny, Jean de Beauharnais, był świadkiem na procesie Dziewicy Orleańskiej³⁴. W 1764 ich posiadłość La Fertain-Aurain podniesiono do rangi markizatu pod nazwą La Ferté-Beauharnais. Jego wuj François wyemigrował w 1790 roku i został majorem w armii księcia Kondeusza³⁵, a później zgłosił przewodniczącemu Konwentu swą kandydaturę na obrońcę króla. Natomiast ojciec Eugène'a, oskarżony o spiskowanie z wrogiem, przebywał obecnie w więzieniu. Urodził się on na Martynice i tam poślubił pannę Tascher de la Pagerie. Przybył z nią do Francji, gdzie spotkał się z przychylnym przyjęciem na dworze. Szlachta z seneszalii³⁶ Blois wybrała go do Stanów Generalnych. W noc czwartego sierpnia³⁷ jako jeden z pierwszych poparł zniesienie tytułów i przywilejów. Został wybrany na sekretarza Zgromadzenia Narodowego i członka komisji wojskowej. Podczas przygotowań do Święta Federacji³⁸ widziano go pracującego z zapalem ramię w ramię z Sieyèsem³⁹ przy niwelowaniu Pól Marsowych. Następnie został odkomenderowany jako generał adiutant do Armii Północnej. Był komendantem obozu w Soissons. Odmówił objęcia stanowiska ministra wojny, a przyjął owo fatalne dowodzenie Armią Renu...

Lecz dopiero gdy Eugène zaczął mówić o dobroci, o wdzięku i urodzie swej matki, jego niekończące się opowiadanie wyrażało słowami wypływający z serca strumień synowskiej miłości.

³⁴ *Dziewica Orleańska* (Joanna d'Arc, 1412-1431) – bohaterka narodowa Francji; wiejska dziewczyna, która podczas wojny stuletniej mobilizowała kraj do walki z Anglikami; wzięta do niewoli została oskarżona o herezję i po procesie spalona na stosie.

³⁵ *Książe Kondeusz* (Louis V Joseph de Bourbon-Condé, 1736-1818) – generał, podczas rewolucji głównodowodzący emigracyjnych wojsk francuskich walczących przeciw republice u boku Prusaków i Austriaków.

³⁶ *Seneszalia* (baliwat) – jednostka terytorialna w podziale administracyjnym przedrewolucyjnej Francji; w przededniu rewolucji podział na baliwaty odpowiadał podziałowi na okręgi wyborcze.

³⁷ W nocy z 4 na 5 sierpnia 1789 roku zniesiono powinności feudalne oraz przywileje szlachty i duchowieństwa.

³⁸ *Święto Federacji* – wielkie rewolucyjne święto zorganizowane 14 lipca 1790 roku, w pierwszą rocznicę zdobycia Bastylii; w Paryżu uroczystości odbywały się na Polach Marsowych.

³⁹ *Emanuel-Joseph Sieyès* (1748-1836) – katolicki duchowny, jeden z głównych inicjatorów rewolucji francuskiej, a później konsulat; jego pamflet *Czym jest stan trzeci?* wpłynął na przekształcenie Stanów Generalnych w Zgromadzenie Narodowe; był również inspiratorem przewrotu 18 brumaire'a, który wyniósł do władzy Napoleona.

Mówił, że teraz będzie pracował z jeszcze większym zapalem, bo obecnie poświęcając się dla markiza de Beauharnaisgo, jednocześnie będzie to czynił dla swej ukochanej matki Józefiny.

Charles, który dla swych rodziców żywił również jak najczulsze przywiązanie, w opowiadaniu swego młodego towarzysza odnajdywał niezmierny urok. Nie przestawał się dopypywać o jego matkę i siostrę, gdy nagle rozległ się huk detonacji, od którego zadrżały wszystkie szyby w oknach hotelu Lanterne. Po pierwszej detonacji nastąpiły kolejne.

– To armata! To armata! – krzyknął Eugène, obeznany z odgłosami wojny bardziej niż jego młody towarzysz.

A zrywając się z krzesła, zawołał:

– Alarm! alarm! Atakują miasto.

W istocie, z trzech lub czterech różnych stron dobiegały odgłosy bębnow.

Dwaj młodzi ludzie skoczyli do drzwi, w których stała już pani Teutch. W mieście zapanowało wielkie zamieszanie. Ulicami we wszystkich kierunkach pędzili kawalerzyści z różnych formacji, z pewnością wioząc rozkazy. Tymczasem lud uzbrojony w piki, szable i pistolety kierował się gromadnie do bramy Haguenau, krzycząc:

– Patrioci, do broni! Nadciga nieprzyjaciel!

Stopniowo głucho odgłosy kanonady znacznie lepiej od ludzkiego krzyku alarmowały o zagrożeniu dla miasta i wzywały mieszkańców do jego obrony.

– Charles, chodźmy na mury – zaproponował Eugène, wybiegając na ulicę – i jeśli sami nie możemy walczyć, to chociaż zobaczymy bitwę.

Charles również wybiegł i pośpieszył za towarzyszem, który lepiej znał topografię miasta i najkrótszą drogą prowadził do bramy Haguenau.

Gdy znaleźli się przed sklepem rusznikarza, Eugène nagle się zatrzymał.

– Zaczekaj – powiedział. – Mam pewien pomysł!

Wszedł do sklepu i spytał:

– Czy posiadacie dobry karabin?

– Tak – brzmiała odpowiedź – ale jest drogi!

– Ile?

– Dwieście liwrów⁴⁰.

Młody człowiek wydobył z kieszeni garść asygnat i rzucił je na kontuar.

– Macie również odpowiedniego kalibru kule i proch?

– Oczywiście.

– Biorę.

Rusznikarz przygotował około dwudziestu kul, które do lufy wchodziły tylko z pomocą wycioru, odważył funt prochu i wsypał go do prochownicy. W tym czasie Eugène odliczył dwieście liwrów w asygnatach i dodał jeszcze sześć za proch i kule.

– Potrafisz się posługiwać bronią palną? – zwrócił się do Charles'a.

– Niestety nie! – odpowiedział ze wstydem zapytany.

– Nie szkodzi. – Eugène się roześmiał. – Będę walczył za nas dwóch.

Po wyjściu skierował się ponownie w stronę zagrożonego odcinka, jednocześnie ładując karabin.

Skądinąd był to niezwykle widok, jak wszyscy – niezależnie od wyznawanych poglądów – niemal skoczyli na wroga. Z każdych drzwi wybiegał uzbrojony człowiek. Magiczny okrzyk „Nieprzyjaciel! Nieprzyjaciel!” zdawał się zrywać obrońców.

⁴⁰ *Liwr* – dawna srebrna moneta francuska, równa 20 su.

W pobliżu bramy tłum już tak zgęstniał, że trzeba było nadłożyć drogi, by się dostać na mury obronne. Eugène i jego przyjaciel pobiegli na prawo i wkrótce weszli na tę część murów, która znajdowała się naprzeciw miejscowości Schiltigheim. Zebrała się tam spora grupa patriotów i z tego miejsca prowadzono ogień. Eugène'owi z trudem udało się przedostać do pierwszego szeregu. Charles podążył za nim.

Rozpościerająca się poniżej równina z przecinającą ją drogą stanowiła pole bitwy, na którym panowało straszne zamieszanie. Francuzi i Austriacy walczyli z sobą w okropnym nieładzie z wściekłością nie do opisania. Nieprzyjaciel w pościgu za ugrupowaniem francuskim, które jak się zdawało, uległo owej panice, którą starożytni przypisywali boskiemu gniewowi, omal nie dostał się do miasta razem z uciekinierami. W porę zamknięte bramy pozostawiły część naszych na zewnątrz. To właśnie oni, przyparci do fosy, uderzyli z wściekłością na nacierających. Natomiast z wysokości murów grzmiała armata i rozbrzmiewały strzelby.

– Ach! – zawołał Eugène, radośnie potrząsając karabinem. – Wiedziałem, że bitwa to coś wspaniałego!

Ledwie wyraził swój zachwyt, przelatująca między nim i Charlesem kula musnęła komyk jego włosów, przeszła mu kapeluszy i położyła trupem stojącego za nim patriotę. Obaj chłopcy poczuli na twarzach jej podmuch.

– Och, wiem, który to był! Widziałem, jak strzelał. Widziałem! – krzyczał Charles.

– Który, który? – dopytywał się Eugène.

– Widzisz, tamten, ten który rozdziera nabój, by załadować karabin.

– Czekaj, czekaj! Jesteś tego pewien, prawda?

– Przysięgam!

– Zatem zobacz!

Młody człowiek wystrzelił. Wskazanego dragona podrzuciło. Jego koń uskoczył na bok, bez wątpienia z powodu mimowolnego uderzenia ostrogą.

– Trafiony! Trafiony! – krzyknął Eugène.

W istocie, dragon usiłował zawiesić swój karabin na bandolecie⁴¹ ale nie dawał rady. Broń wysunęła mu się z dłoni. Przyciskając jedną rękę do boku, drugą usiłował kierować koniem, by opuścić walczące szeregi. Lecz po kilku krokach jego wysoka sylwetka kiwnęła się do przodu i do tyłu, by osuwając się wzdłuż olster⁴², upaść głową w dół. Stopa pozostała w strzemieniu. Spłoszony koń ruszył galopem, wlokąc jeźdźca za sobą. Chłopcy przez chwilę wiedli za nim wzrokiem, lecz wkrótce i koń, i kawalerzysta zniknęli w dymie.

W tym momencie brama się otworzyła i do ataku ruszyła najeżona bagnietami kolumna garnizonowej załogi. Był to ostatni wysiłek, jaki patriotom przyszło uczynić. Nieprzyjaciel nie czekał. Trąbki zagrały odwrót. Całość rozproszonej na równinie kawalerii zgromadziła się na drodze, by ruszyć galopem w kierunku Kilstett i Gambelheim. Armata jeszcze przez chwilę ostrzeliwała konnicę wroga, ale szybki odwrót wkrótce oddalił jeźdźców poza jej zasięg.

Dwaj chłopcy powrócili do miasta napełnieni dumą: Charles – bo widział bitwę, Eugène – bo wziął w niej udział. Na prośbę Charles'a Eugène obiecał, że nauczyć go posługiwać się karabinem, którym sam tak dobrze władał.

⁴¹ *Bandolet* – skórzany pas przewieszony przez ramię, używany do zawieszania na nim lekkiej broni palnej.

⁴² *Olstro* – skórzany futerał na pistolet kawalerzysty przytroczony do przedniej części siodła, używany od XVI wieku; standardowo do siodła przytracano dwa olstra (po obu bokach konia); jeżeli jeździec miał jeden pistolet, drugie olstro używane było do przewożenia drobnych przedmiotów.